

Najpiękniejsza jest samotność w górach

Często spotyka się pogląd, iż samotność pozytywna (w przeciwieństwie do tej niechcianej, pustej, ‘złej’ zwanej osamotnieniem) jest stanem niezbędnym w życiu każdego człowieka. Samotność z wyboru jako cielesna izolacja, przebywanie z sobą uznawana jest za składnik ludzkiej egzystencji i naturalną potrzebę. [1] To pożądane odosobnienie jest warunkiem twórczości, skupienia, kontemplacji, wyciszenia psychicznego, oczyszczenia, samodzielności, odpowiedzialności, ochrony prywatności i intymności.[2] We współczesnym zabieganym świecie trudno znaleźć spokój pozytywnej izolacji, obserwuje się wręcz jej paradoksalny brak.

Turystyka samotnicza, a szczególnie samotnicza turystyka górską (kiedy człowiek świadomie i dobrowolnie decyduje się na wyizolowanie i ucieczkę w wędrowkę) może służyć tej ‘dobrej’ samotności.[3] Biorąc pod uwagę stopień trudności turystyka samotnicza uchodzi za ekstremalną, i jest dla osób, które nie szukają głośnej i mocnej towarzyskiej obudowy, wręcz przeciwnie, pragną wędrować w absolutnej ciszy komunikacyjnej, bez kompanii i bezpośredniego kontaktu z drugim wędrowcem. [4]

Staje się więc ważne z punktu widzenia współczesnej turystyki wskazanie na sens wędrowek podejmowanych w pojedynkę. W niniejszym opracowaniu pragnę to uczynić na podstawie refleksji Władysława Krygowskiego. „Wiele wędrowałem sam [5] – podkreślał Krygowski i dodawał, że wśród wielu samotności najpiękniejsza jest samotność w górach”. [6] To jego życie, a zwłaszcza turystyczna osobowość zainspirowała mnie do poruszenia pewnych aspektów w tej materii, w odniesieniu do motywów, obaw, istoty i „towarzyszy” wędrowek solo.

Pełne gór samotności

Władysław Krygowski od najmłodszych lat wyjeżdżał z Krakowa w góry. W różnych rolach: jako badacz, szkoleniowiec, pracownik PTTK, jako przewodnik grup wędrownych, wreszcie – jako prywatny, samotny turysta.[7]

Swoiste pragnienie samotności odkrywa w sobie już jako dojrzewający chłopiec: „Nie przestając być dzieckiem, już nim nie byłem, nie mogłem oprzeć się przyjemności zapadania w stan, którego jeszcze nie nazwałbym smutkiem i rozżaleniem, ale który wyrażał się melancholijnym łaknieniem samotności”. [8] W pewnym momencie uświadamia sobie, iż wszystko dotychczasowe przestało go obchodzić. Koledzy, psoty, gry i zabawy nie budziły już zaciekawienia. „Zacząłem marzyć i układać sobie podróże w wymyślone krajobrazy” – przypomina [8] sobie te chwile. Zwłaszcza po powrocie z wakacji, kiedy myślami był jeszcze w górach, wieczory napełniały się samotnymi marzeniami: „Zostawałem sam z książką szkolną pod lampą naftową i rozważałem: uczyć się czy nie uczyć, marzyć czy nie marzyć”. [9] Najczęściej zdmuchiwał lampę

¹ Niniejsze opracowanie jest fragmentem przemyśleń do szerszego studium (rozprawy doktorskiej) na temat życia, twórczości i działalności Władysława Krygowskiego, zwłaszcza zaś do części o aksjologii turystyki górskiej; prawa autorskie zastrzeżone, Iwona Dominek, AWF Kraków 2010. Literatura dostępna u autorki: iwona.jakosz@awf.krakow.pl

i oddawał się marzeniom, odtwarzając w myślach wszystkie odbyte wycieczki. Gdy ktoś zapalał lampę, przerywał marzenia, a wraz ze światłem wszystko uciekało. „Tak kończyły się moje pełne gór samotności” – wspomina.[10]

Każde lato, które spędzał od wczesnego dzieciństwa pod Tatrami było pełne wędrówek, z reguły w towarzystwie członków rodziny. Aż do czasu, gdy jako jedenastolatek postanowił, że sam ucieknie w góry. Opisuje to wydarzenie w jednym ze swoich opowiadań:

Zbudziło się we mnie coś zupełnie nowego, spotęgowanego okolicznością, że miałem iść w góry, i to sam jak palec, bo z ojcem już przecie chadzałem. Każda dotychczasowa wycieczka trwała we mnie czymś więcej niż wspomnieniem. Tęsknota przywoływała krajobrazy (...). Chciałem tej ucieczki z domu w góry i nie miałem wątpliwości, że to uczynię.[11]

Rano rzeczywiście wyruszył na swoją pierwszą samotną wycieczkę w góry, wybierając trasę na Przełęcz Grzybowiec, którą znał z wcześniejszych wypadów z ojcem. Potem, na wagary też chadzał sam, nie zabierając nikogo, a jego ulubionym miejscem była Przełęcz Krzyżne.[12]

Dorośli już Krygowski przyznawał, iż mnóstwo dróg przeszedł w swoim tylko towarzystwie, mówił o sobie, że jest samotnikiem, a samotność była mu – jak to określił – najwierniejszą kochanką.[13] Sam wszedł północno-zachodnią ścianą na Niżnią Wysoką Gierlachowską, parokrotnie dokonał pierwszych samotnych tatrzańskich przejść zimowych w latach 1928 – 1930 (m.in. Grani Staroleśnej, Sławkowskiej Grani, od Liliowego na Zawory, granią od Przełęczy Szpary na Krywań).[14] Jako „turystyczny odkrywca” Bieszczadów i Beskidu Niskiego wielokrotnie przewędrował ich pasma bez jakiegokolwiek towarzystwa. Samotnie też przeszedł szlaki Karpat Wschodnich.

Wędrował w pojedynkę, kiedy jeszcze można było przez cały dzień przemierzać trasy samotnie, w przestrzeni niecywilizowanej i ekologicznie wręcz nietkniętej. Schodził bez towarzysza nie tylko ojczyste szlaki, ale i obce przestrzenie. Będąc w obozie internowanych w Rumunii, porwał się na samotną wyprawę, obierając trasę przez siedmiogrodzkie wysoczyzny.[15] W trakcie powojennej tułaczki podejmował parokrotnie wędrówki solo. Tak wspomina góry Północnej Walii i Szkocji:

Było już po wojnie, ale dla mnie nie nastął jeszcze pokój. Chodziłem po walijskich wzgórzach i szczytach, i pochmurnych szkockich pustkach, pełnych wrzosów i wichrów – sam pełen niepokoju.[16]

A tak opisuje włoskie wierchy:

Przewodnik po górach Italii mówi, że Grigna to znakomita i słynna szkoła wspinaczkowa. Niestety ja po wojennych perypetiach nie czuję się na siłach do wielkiej wspinaczki. Samotnie, w battle-dressie, bez odpowiedniego ekwipunku, bez sprawdzonej sprawności wspinaczkowej – nie wspaniałem się przecie całe sześć lat – czuję się nieswojo w zupełnie obcym mi krajobrazie turni i turniczek.[17]

Krygowski rozróżniał trzy rodzaje „samotnych wypadów” w górach. Były to nie tylko wycieczki w pojedynkę, ale także wyprawy we dwoje lub z ulubionym psem. Samotność ze sobą samym jest czasem zgorzkniała, niekiedy zbyt tęskna, „jednak zawsze wyczuwająca obcość nie wyciągniętej przez kogoś ręki”. [18] Taką samotność próbuje się zaludnić postaciami „wszystkich przeczytanych książek, obrazami i rzeźbami, poezją i muzyką”. [19] Przyjaźniejsza zatem wydaje się samotność we dwoje. Tak o niej pisze

autor „Wspinaczki po tęczy”, wspominając odpoczynek w pewnej kolebie w Tatrach po trudach wędrowki w towarzystwie żony:

Dobrze nam tu było w lenistwie, ospałości, nieróbstwie trwania i nietrwania. A może tu był właśnie wysniony raj (...)? Dobrze nam było, to znaczy każdemu z osobna, a równocześnie obojgu, w tej samotności szczególnej we dwoje, pełnej samolubnego zamknięcia się w sobie, wewnątrz siebie jak w łupinie otaczającego świata, z której nie chce się odejść. Taka jest właśnie samotność we dwoje.[20]

Są to chwile, gdy dwoje ludzi znajduje się pod wpływem tego samego wrażenia; każde z nich przeżywa ten stan osobno, w swoim wnętrzu, a przecież odczuwa przy tym bliską obecność tego drugiego, owładniętego tym samym uczuciem. Samotne przechadzki autora ze swoją suką Ritą należały do szczególnie przyjemnych, przyznawał:

lubiałem z nią chodzić, bo należała już do kręgu ludzkiego, nie przestając być zwierzęciem. Rozmawiałem z nią, kiedy chciałem, byłem niby sam, ale szła ze mną obecność czegoś pośredniego między mną a ziemią.[21]

Miło powędrować czasem samotnie

Należałoby zapytać się o motywy podejmowania wędrowek solo przez Władysława Krygowskiego, a także zwrócić uwagę na najistotniejsze korzyści wynikające z takich doświadczeń.

Kiedy już wszystko w Tatrach było zdobyte, Krygowski stwarzał sobie inne trudności, m in. właśnie samotne wspinaczki i zimowe taternictwo. „Nie były to trudności w najwyższym stylu, sięgającym po wielkie wyczyny, – napisał w jednym ze swoich opowiadań [22] – ale dały mi wspomnienia, bez których życie byłoby ubogie i mierne”.

Zdarzało się, iż samotne wędrowanie było wymuszone ograniczeniami prawnymi:

Tutaj każdy z nas poszedł swoją drogą, gdyż tylko ja byłem szczęśliwym posiadaczem przepustki wydanej przez konsulat rumuński we Lwowie. Jeszcze wspólnie nacieszyliśmy się daleką panoramą Karpat Marmaroskich (...), a potem rozstaliśmy się - jak to przedtem było ustalone.[23]

Czasem samotność stawała się czynnikiem twórczym i pozwalała rozwinąć się wyobraźni. Kiedy uwięziony przez deszcz, nie mógł kontynuować wędrowki zaczął pisać.

Gdybym nie był teraz sam w wałającej się szopie, nie siadłbym na tym improwizowanym legowisku – parę desek z resztki stołu, nakrytych liśćmi – i nie przyszedłoby mi na myśl wyciągnąć z plecaka zeszyt i pisać. Piszę pod wrażeniem deszczu i przybierającej wody w obu potokach obejmujących z obu stron moją szopę (...) Muszę wytrzymać jeszcze dzień, może dwa i ta kałuża, którą teraz widzę przez rozwaloną ścianę, zmaconą siąpiawicą odbije czyste, wymyte deszczami niebo. [24]

Samemu idzie się lepiej, bo tempo jest tylko jedno, swoje.

Co świt ruszyłem dalej na Świnicę, lecz nie ona była mi celem. Chciałem przejść granią Walentkowej do Gładkiej Przełęczy, a jak czas pozwoli, dotrzeć do Wrót Chałubińskiego. Samemu idzie się szybko, a trudności spodziewałem się tylko na Walentkowej.[25]

Samotny wędrowiec docenia nieskrępowanie w podejmowaniu decyzji, w wyborze trasy, miejsca noclegu i tempa marszu.

Nie zdjąłem jednak plecaka z ramion i szedłem, szedłem ku Liptowskiemu Murom. Jeszcze nie myślałem, dokąd zejść, w lewo czy w prawo, czy ku Morskiemu Oku, czy ku Piarzystej. Tak lekko było niczego jeszcze nie rozstrzygać, niczego z góry nie układać. [26]

Innego rodzaju doświadczeniem jest wędrownica w pojedynkę, a innego gdy tą samą trasę przebywa się z towarzyszem. To tak, jakby odkrywanie tych samych szlaków na nowo:

choć przewędrowałem nasze góry dość dokładnie, zawsze się w nich czuję, jakbym był po raz pierwszy. Zawsze są inne, na wiosnę i jesienią, przed i po południu, w burzę i w kryształową pogodę, w słońce i w pochmurny dzień, gdy idę sam jak palec lub z kimś bardzo bliskim, szczęśliwy lub przygnębiony, nucąc sobie pod nosem lub milcząc w skupieniu. [27]

Wędrując samotnie „Wszystko staje się inne, widzi się i słyszy inaczej, podobnie jak inny jest dzień w górach, gdy idzie się w trójkę, w dwójkę lub we dwoje”. [28]

Nierzadko samotnicza wędrownica była ucieczką od samego siebie [29], swoistego rodzaju odnowieniem, wyrwaniem się z ciasnoty i wyjściem poza siebie, aby „otrząsnąć z siebie lepką maź otoczenia, umyć w czystej rwącej wodzie, odetchnąć odległością i kryształowym powietrzem” [30]. W momentach jak te należało jedynie poddać się uczuciu samotności, urokom i zapachom otoczenia oraz nastrojowi ciszy. Cisza towarzysząca samotnym wyprawom sprzyja koncentracji. W takim odosobnieniu pełniej kontempluje się przyrodę, dostrzega jej wielkość i piękno. „A jednak otaczały mnie góry – stwierdzał [31] z zachwytem – Trzeba było dopiero zmierzchu, wielkiej samotności, tęsknoty za widnokresem, nieogarnionego spokoju nad kręgami ziemi, abym uwierzył, że to góry”.

Wędrowniki w pojedynkę dawały swoiste poczucie wolności i niezależności oraz chęć sprawdzenia siebie w odmiennych zupełnie warunkach. W opowiadaniach: „W pół drogi do wolności” i „Na przepustce po zwodniczą wolność” opisując swoje samotne wycieczki snuje rozważania o wolności. Były to jednak złudne wolności. Pierwsza – dziecięca, okupiona wyrzutami sumienia i obciążona kłamstwem. Kolejna – już dorosła, ale oszukańcza i krótkowzroczna. W pierwszym przypadku, uczucie niezależności mimo wszystko pozostało: „czułem wolność i radość, że ją zawdzięczam sobie, i że nikt nie wie, gdzie jestem, i że mogę nie wracać do domu”. [32] W drugim zaś, pozostało niezatarte wspomnienie: „Szedłem sam, zależny tylko od siebie, od swego doświadczenia, sprytu i znajomości przyrody” [33]. W samotnym trudzie, chodząc po górach wymagających woli, wysiłku i poświęcenia najlepiej kształtuje się charakter. [34]

Wreszcie, samotnicza turystyka górską dawała mu wytchnienie od wielonurtowej, wieloaspektowej pracy na nizinach, od mniej lub bardziej koniecznych kontaktów z innymi ludźmi, od zabiegania miasta i znojów dnia codziennego.

Jest w miejscu, gdzie urodziłeś się i pracujesz, coś, czego nie da się ująć w słowa. Pulsuje w nim twoje własne życie codzienne wplecione w dziesiątki cudzych wątków, które tworzą wspólnotę całego miasta we współżyciu z tysiącem podobnych do ciebie ludzi, z ich zabiegami, krzątaniem od rana do wieczora i od wieczora do świtu. W górach jesteśmy sami tylko, choć to samotność szczególna, w mieście żyjemy we wspólnym tłumie, w kręgu szczególnej niewoli, która sami wybraliśmy. Nikt nie może bowiem obejść się bez drugiego. Żyjemy swoim życiem i życiem innych ludzi. Oni nam coś świadczą ze siebie, my im w zamian służymy. [35]

Wycieczka górską była ucieczką z biurka do lasu, z trudu równin w trudy gór.

Najczęściej przyznawał jednak, że „lubi takie wieczory w górach, pełne smutku jesieni, samotności i skupienia”[36], a zwłaszcza tę chwilę, kiedy rankiem wybiegłszy pierwszy przed schronisko miał złudzenie, że jest jedynym na świecie człowiekiem.[37] Wielokrotnie podkreślał, iż „miło powędrować czasem samotnie”[38], po prostu lubił tą samotność, wprowadzała go ona w stan skupienia, była bardzo uspakajającym i wyciszającym przeżyciem.

Uczucia przeraźliwej samotności

Samotne wędrowanie bywa ryzykowne, czasem wręcz lekkomyślne. Na samotnego wędrowca czyha wiele niebezpieczeństw. Jednak „Każdy z nas ma chwile lekkomyślności, którym zawdzięcza najpiękniejsze przeżycia”. [39] Krygowski świadom tego, wybiera właśnie przeżycia, które są tak niesamowite, iż trudno się powstrzymać, coś bowiem „ciągnie nieprzeparcie i tylko słaby nie ulega”. [40]

W wyniku analizy literatury oraz opisu badań amerykańskich naukowców [41] wymieniono w opracowaniu [42] na temat samotnych wędrówek obawy towarzyszące samotnym łązikom. Były to obawy przed zranieniem przez innego człowieka, wypadkiem, kontuzją, zabłądzeniem, dzikimi zwierzętami, rabunkiem, napaścią, smutkiem związanym z osamotnieniem, samotnymi wieczorami i nocami.

W czasie wypraw bez towarzysza dopadały Krygowskiego rozmaite lęki, strach, zniechęcenie i przygnębienie. Doświadcział osamotnienia, poczucia grozy samotności i lęku pustkowia.

Dzisiejszy wieczór jest szczególny. Bardziej niż kiedykolwiek czuje pustkowie Bieszczadów, zagubienie, beczasową samotność.[43]

Pożądana samotność okazywała się smutna, przeraźliwa, wielka, beczasowa i pełna niepokoju. Nie poddawał się jednak w samotnym trudzie włóczęgi. Ciekawość zawsze zwyciężała.

Z reguły, obawy wędrowca były nieuzasadnione, bezpodstawne. Nocując gdzieś w górach, samotnie, w kolebie wyglądał nieraz spod skały, aby upewnić się, czy mu coś nie grozi. „Cóż może grozić w tej pustce? – zapytywał [44] sam siebie – Tylko pustka wypełniona metafizyką, jakimś nieuchwytnym lękiem, że jesteś sam z nocą, z gwiazdami, z przerażającą okrutną czernią między nimi i lodowatą ciemnością na ziemi”.

Czego obawiał się najbardziej? Bał się człowieka, ale też w chwilach zwątpienia marzył by się pojawił. Gdy już osiągał cel wędrówki, dostrzegał, że nic się nie działo, doznawał

uczucia przeraźliwej samotności, lęku pustkowia, pragnienia ujrzenia drugiego człowieka, ażeby rozwiać strach, że jestem naprawdę sam, jedyny pozostały przy życiu człowiek. I równocześnie strach, że się ten drugi człowiek nagle rzeczywiście pokaże. Żadnego dymu z ogniska, żadnego głosu ludzkiego, uderzenia siekiery, syku piły lub nawoływania.[45]

Gdy przychodziła trwoga, pojawiały się ambiwalentne uczucia: pragnienia i niechęci do jakiegokolwiek towarzystwa.

Obecność kogoś kogo się nie widzi napawało strachem.

Siedziałem na Przełęczy, (...) gdy usłyszałem gdzieś w pobliżu głosy ludzkie. Kto by to mógł być? Nigdzie owiec ni pastuchów, a turystów w tym czasie ani na lekarstwo. Głosy jakby się kłóciły, ale słów nie było słyhać. A nuż rabusie? Już sama obecność kogoś, kogo się nie widzi, napętnia lękiem. Przycupnąłem ku ziemi i bałem się ruszyć.[46]

Wtedy też, gdy odczuł po raz pierwszy groźbę samotności, zrozumiał, iż „Góry same są dobre, tylko ludzie przynoszą zło”. [47] To ludzi należy się bać.

Jego obawy były uzasadnione, gdy wędrował w czasach trudnych, wojennych, np. jako więzień obozowy na przepustce, po górach Rumunii [48]; czy tuż po wojnie, po walijskich i szkockich szlakach [49]; a także w pełnych niepokoju latach 50-tych, przez bieszczadzkie pustki i bezludzia, przez spalone wojną tereny. Gdy zapadła cisza, gdzieś w lesie, na skraju osuwiska, ogarnęło go nagle uczucie wielkiej samotności. „Wtedy przysła do głosu wyobraźnia i zaczęła mnie nękać myśl, że oto podchodzę na górę, która w kryjówkach lasu, w zapadliskach parowów mieściła wielkie obozowiska upowców zaledwie cztery lata temu. – napisał [50] – Wszystko zaczęło mi się wydawać podejrzane, wszędzie widziałem miny, schrony, stanowiska ogniowe, druty kolczaste”. Był sam jak palec, i do tego podszyty strachem, brnął jednak dalej pełen okrutnej ciekawości. [51] Człowiek pustkę i ciszę zaludnia wyobraźnią. Wyobraźnia bywa zdradliwa, gdy myślimy o tym co nie istnieje a co się może zdarzyć lub pojawić:

Dopóki chwieje się górska trawa i blade w niej górskie goździki, dopóki i skała i szum z dołu roztoki – jakże można się czuć samotnym. Resztę dopowiada zawsze sobie człowiek, który pustkę zaludni swoją wyobraźnią. [52]

W chwilach zwątpienia w sens tego co czynił wyczuwał wyraźnie „czyjaś” obecność. To nadzieja „szła cały czas ze mną” – wspomina momenty rezygnacji. [53] Wprawdzie nie rozsądne jest wychodzić w gęstej mgłę, ale nie podejmując żadnej decyzji to już klęska. „Opuszczając szłaś miałem uczucie rozstawania się z najbezpieczniejszym miejscem na świecie i świadomość powierzenia się przypadkowi – opisuje [54] dalej swoją samotną wędrowkę – Idąc z nadzieją na ramieniu, powtarzałem sobie: to się przetrze, to nie może trwać bez końca”. Zwłaszcza podczas niesprzyjającej pogody, wiedział, że chodzą z nim „wiara, nadzieja i miłość, niezawodne przyjaciółki”. [55]

Jakże złudną rzeczą jest samotność!

Władysław Krygowski opisywał czasy, w których po górach chodziła garstka ludzi, zazwyczaj znających się nawzajem przynajmniej z widzenia. Spotkania „w drodze” wtedy nie zdarzały się tak często jak dziś. Zwykle cieszyły i dodawały otuchy, poczucia, że nie jest się zupełnie osamotnionym w tym odludnym świecie dzikiej górskiej natury. Krygowski trafiał na różnych wędrowców. Także podobnych jemu samemu, „Samotników, którzy nawet w grupie nie należą do niej, i takich, którzy w drodze mijają każdego, bo nie znoszą nikogo przed sobą, (...) i milczków, którzy zdają się nie mieszać z tłumem”. [56]

W swych esejach opowiadał o „ostatnich» (?) romantycznych samotnikach w górach, dla których czasem jedynym przyjacielem był plecak”. [57] W jednym z takich opowiadań wspomina pewne nietypowe spotkanie, do którego właściwie nie doszło. Będąc przekonany, że jest sam na pewnej zacisznej polanie, zauważył nagle w oddali dwie postacie. Sądząc z zachowania, one również uważały się za jedynych ludzi na opustoszałej hali. „Pomyślałem sobie: skoro już nie jestem sam, niechże przynajmniej oni myślą, że są sami (...), gdy zbliżyli się na odległość jakichś kilkudziesięciu metrów (...) mogłem się im – sam nie spostrzeżony – przyjrzeć bliżej”. [58] Może to być dowód szacunku autora dla prywatności dwojga ludzi, choć ci nieświadomie zakłócili jego samotność, którą przecież cenił sobie w górach wysoko. Zazwyczaj przy takich

„spotkaniach” nie nawiązywał kontaktu, stwierdzał tylko: „Jakże złudną rzeczą jest samotność!”[59] i poprzestawał na dyskretnej obserwacji i rozmyślaniach. Widząc zatem pojedynczego wędrowca, odpoczywającego gdzieś nad strumykiem postanawiał zawsze szanować samotność turysty, o którym nic nie wiedział poza tym, że właśnie odpoczywa, wpatrzony w różnokształtną wodę.[60]

Niby sam, ale właściwie nie sam

Nigdy w górach nie czułem się samotny, chociaż wiele razy chodziłem bez towarzysza. Była ze mną mapa i ona to uczyła mnie obcować stale z otoczeniem, z nazwami wierzchów, dolin, wsi i przysiołków, lasów i uboczy.[61]

W trakcie samotnych wędrówek rzeczy nabierają innego znaczenia, stają się bliższe, ludzkie, przyjacielskie. Przedmioty turystyczne wręcz „ożywają”, a przywiązanie do nich rodzi personifikację. To właśnie mapa, plecak[62], śpiwór, ognisko, czy zwykły kijaszek[63] zyskują inną wartość, stają się naprawdę bliskimi, wiernymi kompanami. Najwyraźniej wędrowiec doświadcza tego podczas samotnych wieczorów i bezludnych nocy.

Schron był w ruinie, ale miał jeszcze cztery ściany ułożone z kamienia, brakowało mu natomiast dachu (...) Zabrałem się do przygotowania noclegu. (...). Roznieciłem ogień, lecz poprzestałem na niewielkim żarzeniu się, a pniaczki okazały się dobrym materiałem palnym. Robiłem wszystko, by nie zaczęły płonąć i aby tylko oddychały płomykiem, który samotnemu człowiekowi w nocy mówi, że nie jest sam, lecz z ogniem, najwierniejszym towarzyszem, ni to duchem, ni ciałem, ni to zwierzęciem, ni to stworem z zaświatów – po prostu wychnieniem. (...) Była to chyba moja najlepiej przespana noc w górach, bez snów, bez czuwania, bez rozmyślania.[64]

Krygowski – wielki humanista, miłośnik nauki i sztuki włóczęg się po górach, oczekiwał samotności, wszędzie jej szukał. Jego wędrówki były bezludne lecz nie puste:

Dziewięć muz chodziło ze mną w pogodne dni i w słońce, w burze i zawieje śniegowe. Bo do chodzenia po górach potrzebne są muzy. Potrzebna jest muza muzyki i tańca, poezji i historii, nauki i tragedii. Wszystkie one mieszkały i mieszkają w górach i wszystko, co się w nich dzieje, to ich świat i ty w nim uczestniczysz. To wszystko może być twoje.[65]

Zatem samotność Krygowskiego nigdy nie była pustką. Poniekąd „oswojona”, łagodna jak „dotknięcie matki”[66], zawsze pełna była doznań i przemyśleń.

Wypełniały ją po brzegi uczucia i myśli o ludziach, z którymi przeżywałem moje codzienne życie, (...) Nie była to zatem zwykła samotność, lecz niema rozmowa z górami, które są moją wiarą, z ludźmi i wszystkim stworzeniem, które są moją miłością, i ze samym sobą, który z nadzieją oczekuje każdego dnia i nocy wielkiego wołania na górach.[67]

Jego samotność obfitowała we wspomnienia, marzenia i przeżycia, a wręcz je przybliżała i wyolbrzymiała.[68] Zaludniały ją postacie bliskich.[69] O wspomnieniach, które najczęściej towarzyszyły jego wędrówkom, pisał wielokrotnie.

Teraz, po trzech latach od tych wędrówek, powracał znów na tę ziemię sam, ale na samotnej drodze osaczały go zewsząd wspomnienia, a więc nie odczuwał samotności. Zdawało mu się, że idąc tą samą drogą, co wtedy, z bliską mu kobietą, rozmawia z nią poprzez delikatną tkaninę czasu, choć była to właściwie rozmowa z samym sobą, z wątkami zapamiętanych zdań. Mieszały się w niej różne warstwy czasu pochodzące z dzisiaj, wczoraj i przedwczoraj, przenikały się

wzajemnie, tworząc chaotyczne krajobrazy wzruszeń. Bronił się przed wspomnieniami i równocześnie tęsknił za nimi.[70]

Każda, zwłaszcza powtórzona już solo trasa, była pełna takich zwierzeń. Dlatego nigdy w górach nie czuł się osamotniony – wypełniały je fragmenty odbytych rozmów i przerwane nagle myśli.

Gdy rok temu szedłem tą samą drogą, było to po prostu odtwarzanie krok po kroku zapisanych w pamięci szczegółów, przywoływanie po zapachu i dźwięku, po dotyku i smaku. Wszędzie zostają strzępy rozmów, nie dokończony wątek myśli. Przyczepione są do drzew, fragmentów horyzontu, kształtu chmur, szumu wody, przelotu ptaka.[71]

Zastanawiały go związki między jednym wspomnieniem a drugim oraz siła współdziałania wszystkich zmysłów w tym procesie. Do wszystkiego co widzimy, słyszymy, smakujemy, wachamy i dotykamy w górach doczepiamy coś z nas samych. Po latach odnajdujemy to znowu

i to jest jedna z najdziwniejszych tajemnic, iż wszystko, co jest, jest tylko przez nas samych. Źródło przez to, że piłaś z niego wodę, skalny blok przez to, że w złomie garstka ziemi wyszukana przez złotego kozłowca, a on sam przez to, że patrzyłaś na niego z takim zachwytem, mgła przez to, że miała zapach zimnego kościoła i mszy w półmroku, a ta kładka bez poręczy dziś istnieje przez twój krok taneczny i twój śpiew wtedy.[72]

Zatem dziwna to była samotność, samotność w górach, w których tyle widział, przeżył w różnych czasach i miejscach, o różnych porach roku czy dnia. Inna to była samotność, „inna niż samotność w mieście, niedobra i nietwórcza”[73]. Jakże bowiem czuć się samotnym, „gdy się rozmawia ze swymi myślami”[74]? Jakże być samotnym, gdy towarzyszą zawsze i wszędzie myśli nie tylko o minionych zdarzeniach, o dawnych ludziach ale i obrazy świata, który nastąpi? Jakże być samotnym, gdy towarzyszą cienie tych co odeszli i cienie tych, co nadejdą?[75] Jakże czuć się samotnym „skoro wszędzie krąży coś koło nas, patrzy na nas, przysłuchuje się myślom, śledzi nasze kroki i poczynania”[76]? „Cóż jeszcze dzieje się wokół nas i czym jest to coś, widzialne i niewidzialne, zrozumiałe i niepojęte, ziemskie i niepokojąco nieziemskie”.[77]

Krygowski, który wiele wędrował sam, przekonuje, że wszędzie, a zwłaszcza na łonie natury, jesteśmy sami i zarazem nie sami.[78] Górolazowi towarzyszy słońce, chmury, wiatr lub deszcz, skała, rzeka, drzewa, krzewy, kwiaty i trawy.

Cóż to za samotność, kiedy wokół mnie wciąż coś się dzieje. Wiatr nagiął do wyrwy w szopie krzew, sygnęło kroplami i chłodem. Kiedyś był to - dziś zdziczały i wybujały – krzew bzu kwitnącego w bojkowskiej wiosce, gdy w ciepłe tchnienie wieczoru wplata się smug woni jego liliowych okiści. (...). Taka to jest samotność, gdy kiść zdziczałego bzu jest towarzyszem noclegu w bojkowskiej szopie.[79]

Napierają zewsząd kolory, zapachy i dźwięki. Tokujący cietrzew[80] czy kwiląca kania[81] „zakłócają” to uczucie samotności. Dookoła żyją swoim życiem owady, ptaki i inne zwierzęta, które niepostrzeżenie „przechodzą tuż obok nas dziesiątki razy (...), lecz nie zwracamy na to uwagi. Chodzą jelenie, sarny, lisy, czasem niedźwiedź, czasem wilk”. [82] Pozostawiają ślady, niewyraźne znaki swojej egzystencji:

mnóstwo tropów ptasich i zwierzęcych. (...) Wystarczyło to, by nie czuć się zupełnie osamotnionym i zamkniętym we wnętrzu ciszy, nie zmaconej wiatrem, szumem wody w dolince, głosem ptaka.[83]

W przyrodzie nie istniejemy sami, jesteśmy częścią krajobrazu.[84] Przyroda żyje w nas i wokół nas. A jednak te głosy natury nie mącą pożądanej przez wędrowca samotności.

Dziesiątki kilometrów na południe za granicznym grzbietem (...), samotności nie zmaćił ani śliczny jeleń na Wołosaniu, (...), ani plusk pstrągów w cichej tafli duszatyńskich jeziorok, ani łomot dzików. (...) otaczał nas maj chmurą kukulek (...), były na wygrzanych drogach żmije,(...)przeróżnej zieleni jaszczurki(...) pachniały iwy i łopiany w gorący wieczór. (...) Czy więc można nazwać te dni samotnymi? Były bezludne, ale nie samotne, były dzikie, lecz nie puste. [85]

Na łonie natury człowiek nie może czuć się osamotniony, bo rzeczywiście nie jest samotny, nawet jeśli wędruje bez towarzystwa. Umysł wrażliwego turysty dokonuje wtedy swoistej personifikacji. Przyroda jako całość staje się dla wędrowca uosobieniem przyjaciółki, przewodniczki, opiekunki i nauczycielki. Krygowski pisze, że jego wędrowanie

było przede wszystkim nie kończąca się obserwacją przyrody i życia ludzi w górach i pod górami, rozmyślaniami nad prawami układającymi w harmonię zmagające się w przyrodzie górskiej sprzeczności, rozważaniem, ile ona daje człowiekowi w zamian za przyjaźń i współdziałanie z rytmem jej życia. Przyroda była mi matką, opiekunką, kochaną i kochającą kobietą, nadzieją i wiernością, a ja starałem się być jej wiernym i wdzięcznym uczniem.[86]

Cóż znaczą wszystkie refleksje o samotności?

Kiedyś jeszcze można było wędrować samotnie, teraz jest to coraz trudniejsze. Wprawdzie na podstawie badań sondażowych[87] przeprowadzonych w oparciu o wypowiedzi na tematycznych forach internetowych można stwierdzić, iż w obecnych czasach wiele osób nadal chętnie wędruje samotnie. Jednak dominującą formą zwiedzania staje się turystyka gromadna. Dla Krygowskiego turystyka zbiorowa, pełna hałasu to zło konieczne. To bezwiedne przesuwanie ludzkich ciał z miejsca na miejsce, to odbywanie wycieczki według ustalonego z góry planu, w mniej lub bardziej zorganizowany sposób, to przeznaczanie określonego czasu na „zwiedzanie” i ciągle zerkanie w pośpiechu na zegarek.

W samotnej ciszy – o której wielokrotnie rozpisuje się Krygowski – najlepiej odnajduje się sens bycia w górach. Można bowiem nie tylko iść w góry, ale być w górach, nie spieszyć się, zapomnieć o czasie na tyle, by wyzwolić się spod władzy codziennych problemów, zabiegania i pogoni za doczesnym „mieć”. Wędrujący samotnie piechur wchłania świat wolniej i dokładniej, jego przeżycia i wrażenia są trwalsze i mniej powierzchowne, lepiej współżyje też z przyrodą niż członek tłumniej, krzykliwej gromady. [88]

Z drugiej strony, każde samotne wyjście w góry uświadamia znaczenie obecności kogoś bliskiego w życiu: „każde nasze samotne nawet wyjście w góry staje się równocześnie wyjściem ku terażniejszej lub przyszej obecności drugiego człowieka”. [89]

Cóż zatem znaczą wszystkie refleksje o samotności? – zapytuje w końcu Krygowski[90] i dochodzi do wniosku, co jest najgłębszym sensem wędrowania:

Gdy tak chodzimy górami, wododziałami, dolinami i wierzchowiną, nie spotykamy jednak żadnej prawdy, jeśli nie idziemy do człowieka. Nawet wówczas, gdy zmęczeni życiem uciekamy od ludzi w samotność.[91]

Choćbyś nie wiem jak bardzo potrzebował samotności, potrzebujesz człowieka.[92]

Podsumowując powyższe rozważania można stwierdzić, iż potrzeba bycia z drugim człowiekiem jest naturalną potrzebą, trwałą; potrzeba samotności tylko chwilową i przelotną. Turystyka samotnicza niesie szansę na poznanie siebie i docenienie bliskości przyjaciół, rodziny i innych osób w naszym życiu. Przewrotnie Krygowski stwierdza, iż uciekając od ludzi, ucieka się zawsze do człowieka.[93] Samotnie

wspinającym się alpinistom, w najcięższych chwilach zawsze wydaje się, że idzie z nimi towarzysz i rozmawiają z tym kimś.[94] Podobnie jest nie tylko na dużych wysokościach. Autor „Wspinaczki po tęczy”, opisuje chwile, gdy zdawało mu się, iż ktoś towarzyszy jego wędrowce. Przytoczę oto dwa przykłady. Pierwszy, gdy był w górach sam:

Na przełęczce głód wziął mnie w obroty. Żarłem i popijałem wodą, którą znalazłem w wesołej strudze w parowie. Gdy krajałem chleb, zdawało mi się, że ktoś drugi jest ze mną i że to on dzieli się ze mną. Nie byłem więc sam na przełęczce.[95]

Innym razem wędrował z żoną:

Szliśmy jacyś poważni, zapatrzeni i zasłuchani. Ciągle mi się zdawało, że ktoś z nami idzie niewidoczny, że nawet do naszego milczenia wtrąca swoje milczenie. Nieraz mam to uczucie w górach, że mi ktoś towarzyszy i dlatego żadnej wycieczki samotnej nie uważam za samotną. Gdy wieczorem tego dnia rozmawialiśmy przed snem o przebytych dniach, Zosia przyznała mi się, że i jej zdawało się, że nie idziemy sami. Nie mówiła nic, bo bała się, że będę śmiał się z jej przewidywań. [96]

Pomimo wielu pozytywnych wymiarów okresowego „dawkowania” samotności w górskim wędrowaniu, nie szukamy tak naprawdę ucieczki od ludzi. „Wszędzie i zawsze potrzebujemy drugiego człowieka i przez myśl o ludziach i przez miłość do ludzi mają sens nasze wysiłki, praca i przyjemności, obcowanie z przyrodą, badanie jej zjawisk i sił, poznawanie kraju, jego lasów, jezior, nizin i gór – choćbyśmy czynili to samotnie”. [97]